

Dwugłos o poezji

Witold Gombrowicz - "Przeciw poetom"

Czesław Miłosz - "List do Gombrowicza"

Witold Gombrowicz - "Przekłete zdrobnienie znowu dało mi się we znaki"

[Onet.pl – Paryska "Kultura" – Archiwum] <http://kulturoparyska.onet.pl/artukul.asp?M=618>

OD REDAKCJI (Kultura 7/346-8/347 1976)

Szkic Witolda Gombrowicza "Przeciw Poetom", ogłoszony w Kulturze przed dwudziestu pięciu laty (nr 10/48, 1951), został wprawdzie włączony do pierwszego tomu "Dziennika", ale pominięto tam, siłą rzeczy, wywołaną tym szkicem dyskusję i końcową odpowiedź Gombrowicza: "Obrońcom Poetów". Gombrowicz streszcza w niej wypowiedzi Łobodowskiego, Zaremby i Tarnawskiego. Odpowiedź jego byłaby jednak niezrozumiała bez ogłoszenia na nowo kapitalnej wagi listu Czesława Miłosza.

Diagnoza ówczesnej symetryczności i przeciwstawnej alienacji poezji w zachodnich społecznościach i w krajach komunistycznych, postawiona przez obu czołowych polskich pisarzy którzy znaleźli się na emigracji, jest nie tylko zadziwiająco trafna: pozwala ona ocenić wagę przemian jakie zaszły od tego czasu.

Jeśli chodzi o Polskę, Miłosz podnosi "sprzeczność nie do usunięcia między diamentem i prawdziwą twórczością artystyczną". Podkreśla on z drugiej strony "ogromną pracę nad stylem poetyckim", dokonaną tam w ciągu pierwszych lat powojennych. W pięć lat później diament został jeśli nie poświęcony to odłożony do lamusa zastygłego rytuału i Miłosz radośnie witał nowe ożywcze głosy w polskiej poezji.

Losy "czystej poezji" na Zachodzie (czyli alienacji odwrotnej) były oczywiście bardziej złożone. Jej "Masło" nadal bywa "zbyt Maślane", ale coraz częściej się zdarza, że w myśl wskazówek Miłosza poeta anglosaski, niemiecki, włoski (rzadziej francuski) "używa rytmu i obrazów jako środka żeby coś powiedzieć, a nie jako celu samego w sobie". Skądinąd przeciw "próżni muzy poetyckiej" powstała radykalna i nowa krytyka kultury i sztuki postawiona na Zachodzie przez młodzież w latach sześćdziesiątych, a zwłaszcza w maju 68.

Po upływie ćwierć wieku, udostępnienie młodemu pokoleniu tego dwugłosu wydaje się nam niezbędne jako dowód, że człowiek - jak powiada Miłosz - "nawet w nieprzychylnych okolicznościach zdolny jest zachować zdrowie umysłowe i szacunek dla prawdy". Dodajmy jednak (ponieważ chodzi o poezję), że prekursorska wizja Gombrowicza i Miłosza związana jest niewątpliwie z tym, że ich własne dzieło poetyckie (a nie tylko krytyka) "broni poezję przed bzdurą i fałszem".

Witold Gombrowicz - PRZECIW POETOM

Byłoby subtelniej z mej strony gdybym nie zakłócał jednego z nielicznych nabożeństw, jakie nam jeszcze pozostały. Aczkolwiek zwątpiliśmy prawie o wszystkim, uprawiamy jeszcze kult Poezji i Poetów i to bodaj jedyne Bóstwo, którego nie wstydzimy się wielbić z wielką pompą, z głębokimi pokłonami, głosem napuszonym... Ach, ach, Shelley! Ach, ach, Słowacki! Ach, słowo Poety, misja Poety i dusza Poety! A jednak trzeba mi rzucić się na te modły i popsuć, w miarę możliwości mojej, ten rytuał w imię... w imię po prostu elementarnej złości, jaką w nas budzi wszelki błąd stylu, wszelki fałsz, wszelka ucieczka od rzeczywistości. A ponieważ zabieram się do walki z dziedziną szczególnie wywindowaną, nieomal podniebną, przeto muszę się pilnować, abym sam nie wzleciał jak balon i nie stracił twardego gruntu pod stopami.

Teza niniejszego szkicu: iż nikt prawie nie lubi wierszy i że świat poezji wierszowanej jest światem fikcyjnym oraz sfalszowanym wyda się, przypuszczam, równie śmiała, jak niepoważna. A jednak ja tu stoję przed wami i oświadczam, że mnie wiersze wcale się nie podobają, a nawet mnie nudzą. Powiecie może iż jestem nędznym ignorantem? Ale pracuję przecież w sztuce od dawna i język jej nie jest mi tak zupełnie obcy. A również nie możecie użyć przeciwko mnie waszego ulubionego argumentu, twierdząc, że nie posiadam wrażliwości poetyckiej, albowiem właśnie posiadam ją i w dużej mierze - a gdy poezja objawia mi się nie w wierszach lecz zmieszana z innymi bardziej

prozaicznymi elementami, na przykład na dramatach Szekspira, w prozie Dostojewskiego i Pascala, lub po prostu przy okazji zwykłego zachodu słońca, drzę jak inni śmiertelnicy. Dlaczegoż tedy nudzi mnie i męczy ten farmaceutyczny ekstrakt zwany "czystą poezją", zwłaszcza gdy ukazuje się w formie wierszowanej? Dlaczego nie mogę znieść tego monotonnego śpiewu, bez przerwy wzniesłego, dlaczego usypia mnie rytm i rym, dlaczego język poetów wydaje mi się najmniej ciekawy ze wszystkich możliwych języków, dlaczego te Piękność jest dla mnie tak mało powabna i dlaczego nie znam nic, jako styl, gorszego, nic bardziej śmiesznego niż sposób w jaki Poeci mówią o sobie i swojej Poezji?

Ale byłbym może skłonny uznać jakąś specjalną ułomność moją w tym względzie... gdyby nie pewne doświadczenia... Przeklęty, w sztuce, Bacon! Doradzam wam abyście nigdy nie starali się przeprowadzać doświadczeń na terenie sztuki, gdyż dziedzina ta tego nie znosi - a wszystkie deklamacje na jej temat mogą ostać się tylko pod warunkiem, że nikt nie będzie tyle niedyskretny, aby zajrzeć, o ile pokrywają się one z rzeczywistością. Ładnych rzeczy, na przykład, dowiedzielibyśmy się, gdybyśmy zaczęli badać o ile osoba, która zachwyca się Bachem, może w ogóle zachwycać się Bachem, tj. o ile zdolna jest uchwycić coś z muzyki i z Bacha. Czyż nie zdarzyło mi się (pomimo iż nie potrafię wygrać na fortepianie "wlaź kotem na płotek") dać nie bez powodzenia dwóch koncertów - koncertów, które polegały na tym, iż zacząłem bębnić w instrument bez składu ni ładu, zapewniwszy sobie przedtem poklask kilku wtajemniczonych w mą intrygę znawców i zapowiedziawszy, że ci, którzy rozprawiają o sztuce górnym trybem Valérego nie zniżają się do takich konfrontacji. Ten kto od tej strony podchodzi do naszej estetycznej Mszy z łatwością może odkryć, iż to królestwo pozornej Dojrzałości jest właśnie najbardziej niedojrzałym podwórkiem ludzkości, gdzie króluje bluff, mistyfikacja, snobizm, fałsz i głupstwo. I dobrą będzie gimnastyką dla naszego sztywnego myślenia, jeśli od czasu do czasu wyobrazimy sobie samego Pawła Valéry jako kapłana Niedojrzałości, besege księdza w krótkich majtkach.

Następujące przeprowadzałem doświadczenia: kombinując poszczególne zdania, lub fragmenty zdań, z wierszy danego poety, budowałem wiersz absurdalny i odczytywałem go w gronie szczerych miłośników jako nowy utwór wieszczczy - ku ogólnemu zachwytowi owych miłośników; albo zaczynałem wybadywać ich w sposób szczegółowy na okoliczność tego czy innego poematu, i stwierdziłem, że "miłośnicy" nawet nie przeczytali go w całości. Jakżeż więc? Tak się zachwycać, a nawet nie doczytać do końca? Rozkoszować się tak dalece "matematyczną precyzją" poetyckiego słowa, a nie dostrzec radykalnego pokielbaszenia precyzji? Tak się mądrzyć, tyle deklamować na te tematy, delektować się jakimś subtelnościami, niuansami, a zarazem popępniać tak ciężkie, tak elementarne grzechy? Naturalnie, po każdym z tych doświadczeń wielkie powstawały protesty i obrazy, a miłośnicy zaklinali się na wszystkie świętości, że jednak to nie tak... że przecież... ale ten groch odbijał się od twardej skały Doświadczenia.

Znalazłem się więc w obliczu następującego dylematu: tysiące ludzi pisze wiersze; setki tysięcy wielbią tę Poezję; znakomici geniusze wypowiadali się wierszem; od niepamiętnych czasów Poeta jest czczony - a wobec tej góry chwały ja, z moim podejrzeniem, że msza poetycka odbywa się w zupełnej próżni. O, gdybym nie umiał bawić się tą sytuacją, na pewno bardzo byłbym przerażony!

Pomimo to jednak moje doświadczenia ogromnie wzmocniły mnie na duchu i już śmieiej zacząłem szukać odpowiedzi na to męczące pytanie: dlaczego nie smakuje mi czysta poezja? Dlaczego? Czyż nie dla tych samych przyczyn, dla których nie smakuje mi cukier w stanie czystym? Cukier nadaje się do osładzania kawy ale nie do tego aby go jeść łyżką z talerza, jak kaszkę. W poezji czystej, wierszowanej, *nadmiar* męczy; nadmiar poezji, nadmiar poetycznych słów, nadmiar metafor, nadmiar sublimacji, nadmiar, wreszcie, kondensacji i oczyszczenia ze wszelkiego elementu antypoetyckiego, co upodabnia wiersze do chemicznego produktu.

Śpiew jest bardzo odświętną formą wypowiedzi... Ale oto, w ciągu wieków, mnożą się śpiewacy - którzy, śpiewając, zmuszenia są przyjąć postawę śpiewaka - a ta postawa z biegiem czasu coraz staje się sztywniejsza. I jeden śpiewak podnieca drugiego, jeden drugiego utwierdza w coraz bardziej nieustępliwym zapamiętaniu się w śpiewie, ha, już nie śpiewają oni dla tłumu, już jeden śpiewa dla drugiego; i między nimi, na drodze nieustannej rywalizacji, ciągłego doskonalenia się w śpiewie, wytwarza się piramida, której szczyt dosięga niebios i którą podziwiamy z dołu, z ziemi, zadzierając nosy. To co miało być chwilowym wzlotem prozy, stało się programem, systemem, profesją - i dziś jest się Poetą tak jak się jest inżynierem lub lekarzem. Wiersz urósł nam do potwornych rozmiarów i już nie my nim rządzymy, ale on nami. Poeci stali się niewolnikami - i moglibyśmy określić poetę, jako istotę, która już nie może wypowiadać siebie, gdyż musi wypowiadać Wiersz.

A przecież nie może być chyba w sztuce ważniejszego zadania, niż to właśnie: wypowiadać siebie. Nie powinniśmy nigdy tracić z oczu prawdy, że wszelki styl, wszelka określona postawa formuje się przez eliminację i jest w gruncie rzeczy zubożeniem. Nie powinniśmy przeto pozwolić, aby jakakolwiek postawa redukowała zbyt możliwości, stając się kneblem na ustach - a gdy idzie o tak sztuczną, ba, nieomal pretensjonalną postawę jak "śpiewaka" tym bardziej należałoby nam mieć się

na baczności. Lecz my, jak dotąd, jeśli idzie o sztukę, o wiele więcej wysiłku i czasu poświęcamy doskonaleniu się w takim albo innym stylu, w takiej lub innej postawie, niż temu aby zachować w stosunku do nich wewnętrzną suwerenność i swobodę, aby wypracować właściwy stosunek pomiędzy nami a naszą postawą. Zdawałoby się, iż Forma jest dla nas wartością samą w sobie, niezależnie od tego o ile nas wzbogaca lub zuboża. Zapamiętałobyśmy doskonale sztukę ale niewiele się przejmujemy pytaniem, do jakiego stopnia zachowała ona jeszcze jakiś związek z nami. Pielęgnowujemy Poezję, nie bacząc, iż to co piękne niekoniecznie musi być "twarzowe". Jeżeli więc chcemy, aby kultura nie straciła wszelkiego związku z jednostką ludzką, musimy od czasu do czasu przerwać naszą pracowitą twórczość i skontrolować, czy to co wytwarzamy, nas wyraża.

Istnieją dwa sprzeczne rodzaje humanizmu: jeden, który moglibyśmy nazwać religijnym, usiłuje rzucić człowieka na kolana przed dziełem kultury ludzkiej, zmusza nas abyśmy wielbili i szanowali, na przykład, Muzykę, albo Poezję, albo Państwo, albo Bóstwo; ale drugi, bardziej krnąbrny prąd ducha naszego, stara się właśnie o przywrócenie człowiekowi jego suwerenności i niezależności w stosunku do tych Bogów i Muz, które, ostatecznie, są jego, człowieka, tworem. W tym ostatnim przypadku słowo "sztuka" pisze się z małej litery. I niewątpliwą jest rzeczą, że styl, który potrafi objąć obie te tendencje, jest pełniejszy, autentyczniejszy i ściślej odzwierciedla antynomiczność natury naszej, niż styl który ze ślełą krańcowością wyraża jeden tylko z tych dwóch biegunów naszego uczucia. Ale, ze wszystkich artystów, poeci są chyba tymi którzy najusilniej padają na kolana - najbardziej się modlą - są oni kapłanami *par excellence* i *ex professo*, a Poezja, w tym ujęciu, staje się po prostu celebracją. Ta właśnie wyłączość sprawia, że styl i postawa poetów są tak drastycznie niedostateczne, tak niczym nieuzupełnione.

Pomówmy jeszcze przez chwilę o stylu. Powiedzieliśmy, że artysta musi wypowiadać siebie. Lecz, wypowiadając siebie, musi on także dbać aby jego sposób mówienia był zgodny z istotnym jego położeniem w świecie, winien on dać nie tylko stosunek swój do świata, ale i świata do siebie. Jeżeli, będąc tchórzem, przybieram ton heroiczny, popełniam błąd stylu. Ale jeżeli wyrażam się tak, jak gdybym był przez wszystkich szanowany i kochany, podczas gdy w rzeczywistości ludzie nie cenią mnie ani nie lubią, także popełniam błąd stylu. Jeżeli zaś chcemy zdać sobie sprawę z istotnego naszego położenia w świecie, nie możemy unikać konfrontacji z odmiennymi, od naszej, rzeczywistościami. Człowiek, który uformował się jedynie w styczności z ludźmi podobnymi sobie, który jest produktem wyłącznie swego środowiska, ciasniejszy, gorszy będzie miał styl od tego, który doznał rozmaitych środowisk i ludzi. I otóż w poetach razi nie tylko ta ich nabożność, niczym nie skompensowana, to oddanie się całkowite Poezji, ale i ich strusia polityka w stosunku do rzeczywistości: gdyż oni bronią się przed rzeczywistością, nie chcą jej wiedzieć, ani uznać, wprawiają się umyślnie w stan oszołomienia, który nie jest siłą, lecz słabością.

Czyż poeci nie tworzą dla poetów? Czy nie szukają oni jedynie wyznawców tj. ludzi takich, jak oni sami? Czyż te wiersze nie są li-tylko wytworem pewnej, ciasnej, grupy? Czy nie są one hermetyczne? Oczywiście, nie zarzucam im tego że są "trudni" - nie domagam się aby pisali "w sposób dla wszystkich zrozumiały" ani aby zstąpili pod strzechy. Równałoby się to żądaniu, aby dobrowolnie zrezygnowali z najistotniejszych wartości, jak świadomość, rozum, większa wrażliwość i głębsza wiedza o życiu i świecie po to aby zniżyć się do przeciętnego poziomu - o, nie, nigdy nie zgodzi się na to żadna sztuka, która się szanuje! Ten, kto jest rozumny, subtelny, wzniosły i głęboki musi przemawiać rozumnie i subtelnie i głęboko, a kto jest wyrafinowany musi przemawiać w sposób wyrafinowany - gdyż wyższość istnieje i istnieje ona nie po to ażeby się zniżyć. Nie jest więc złe, że współczesne wiersze nie są byle komu dostępne, ale złe jest, że są zrodzone z jednostronnego, ciasnego obcowania identycznych światów, identycznych ludzi. Wszakże sam jestem autorem, który uparcie broni swojego poziomu - ale jednocześnie (wspominam o tym aby mi nie zarzucono że uprawiam rodzaj, który zwalczam) utwory moje ani przez chwilę nie zapominają, że poza mym światkiem istnieją jeszcze inne światy. I jeśli nie piszę dla ludu, to jednak piszę jako ktoś przez lud zagrożony, lub też zależny do ludu, lub przez lud stwarzany. Nigdy też nie przyszło mi do głowy aby przybierać pozę "artysty", "pisarza", dojrzałego, uznanego twórcy, lecz występuję właśnie w roli kandydata na artystę, jestem tym, który jedynie pragnie być dojrzały - w nieustającym i zażartym starciu ze wszystkim co mnie hamuje w rozwoju. I sztuka moja wykształcała się nie w zetknięciu z grupą ludzi mnie pokrewnych, lecz właśnie w odniesieniu do wroga i w zetknięciu z wrogiem.

Poeci natomiast? Czyż wiersz poety może się ostać, jeśli wpadnie w ręce nie przyjaciela-poety, ale wroga, ale nie-poety? Jak wszelka inna wypowiedź, wiersz tak powinien być poczęty i urzeczywistniony, aby nie przyniósł hańby swemu twórcy nawet wówczas, gdyby nikomu nie miał się podobać. Więcej nawet, trzeba aby wiersze nie hańbiły twórcy także w tym wypadku, jeśli jemu samemu - twórcy - się nie podobają. Albowiem żaden poeta nie jest wyłącznie poetą i w każdym poecie żyje nie-poeta, który nie śpiewa i nie lubi śpiewu... a człowiek jest czymś obszerniejszym niż poeta. Ale styl zrodzony wśród wyznawców tej samej religii umiera w zetknięciu z tłumem niewiernych; niezdolny jest on bronić się, ani walczyć; niezdolny do prawdziwego życia; to styl ciasny.

Pozwólcie, iż ukażę wam następującą scenę... Wyobraźmy sobie, że w gronie kilkunastu osób jedna z nich wstaje i zaczyna śpiewać. Śpiew ten nudzi większość słuchaczy; lecz śpiewak nie chce zdać sobie z tego sprawy; nie, on zachowuje się jakby zachwycił; wymaga aby wszyscy padali na kolana przed tym Pięknem, żąda bezwzględnego uznania dla swej roli Wieszcza; i choć nikt nie przywiązuje do jego śpiewu większej wagi, on przybiera minę jakby słowo jego miało decydujące dla świata znaczenie, pełen wiary w swoją Poetycką Misję ciska gromy, huczy, brzmi, szaleje w próżni; lecz, co więcej, nie chce przyznać się przed ludźmi, ani też przed sobą, że ten śpiew nawet jego samego nudzi, męczy, dręczy - gdyż przecie on nie wypowiada się swobodnie, ani naturalnie, ani bezpośrednio, tylko w formie odziedziczonej po innych poetach, która straciła już od dawna styczność z bezpośrednim odczuwaniem ludzkim; i oto nie tylko głosi on Poezję, ale i zachwycę się Poezją; będąc Poetą, wielbi większość Poety; nie tylko wymaga aby inni padali przed nim na kolana, lecz sam przed sobą pada na kolana. Czyż nie można by o takim człowieku powiedzieć, że on za duży wziął ciężar na swe barki? Gdyż nie tylko wierzy w moc poezji, ale i zmusza samego siebie do tej wiary, nie tylko ofiarowuje siebie innym, ale i zmusza ich aby ten boski dar, jak hostię, spożywali. Gdzież w tak hermetycznym stanie ducha powstać może jakaś szczelina, przez którą wdarłoby się z zewnątrz życie? A przecież nie mowa tutaj o jakimś trzeciorzędnym piewcy, nie, to się odnosi również do najślawniejszych, najlepszych poetów.

Gdybyż poeta umiał potraktować swój śpiew jako manię, lub jako obrządek, gdybyż oni śpiewali jako ci, którzy *muszą* śpiewać, choć wiedzą, że śpiewają w próżni. Gdybyż zamiast dumnego "ja, Poeta" byli zdolni wypowiedzieć te słowa ze wstydem, lub lękiem... lub nawet ze wstrętem... Ach nie! Poeta musi uwielbiać Poetę!

Ta więc bezsilność wobec rzeczywistości cechuje w sposób miazdzący styl i postawę poetów. Lecz człowiek, który ucieka przed rzeczywistością, nie znajduje już w niczym oparcia... staje się igraszką żywiołów. Z chwilą, gdy poeci stracili z oczu konkretną istotę ludzką, a wzrok utkwili w abstrakcyjnej Poezji, już nic nie mogło powstrzymać ich na równi pochyłej, wiodącej w przepaść absurdu. Wszystko zaczęło im rosnąć samo przez się. Metamorfoza, pozbawiona wszelkiego wędzidla wzięła na kiel, rozszalała się do tego stopnia, że dziś już nic w wierszach nie ma, prócz metafor. Język stał się rytualny - te "róże", te "zmierzchy", "tęsknoty" lub "bóle", które ongiś miały jakąś świeżość, stały się wskutek nadużycia pustym dźwiękiem - a odnosi się to również i do bardziej nowoczesnych "semafor" lub innych "spirali". Zwężeniu języka towarzyszy zwężenie stylu, które doprowadziło do tego, że dziś wiersze to nie więcej niż kilkanaście uświęconych "przeżyć" podanych w natrętnych kombinacjach skąpego słownika. W miarę jak Zwężenie stawało się coraz Węższe, nieokiełznane niczym Piękno stawało się coraz Piękniejsze, Głębia coraz Głębsza, Szlachetność coraz Szlachetniejsza, Czystość coraz Czystsza. Gdy z jednej strony pozbawiony hamulca wiersz rozdał się do granic gigantycznego poematu (podobnego do tych puszczy, znanych naprawdę tylko kilku eksploatorom) z drugiej jął koncentrować się do rozmiarów zbyt już syntetycznych i homeopatycznych. Poczęto też oddawać się jakimś wynalazkom i eksperymentom z grymasem straszliwego wtajemniczenia - i tej nudnej orgii, powtarzam, nic nie jest w stanie zahamować. Albowiem nie idzie tu o twórczość człowieka dla człowieka, a tylko o obrządek pełniony przed ołtarzem. A na dziesięć wierszy, co najmniej jeden poświęcony będzie wielbieniu Potęgi Słowa Poetyckiego lub gloryfikacji powołania Poety.

Zgódźmy się iż te chorobliwe przypadłości nie są jedynie właściwe poetom. W prozie również ta religijna postawa poczyniła wielkie spustoszenia i jeśli weźmiemy utwory takie, jak np. "Śmierć Wiergiusza" Brocha, lub "Ulissesa", albo niektóre dzieła Kafki, to doznamy tego samego wrażenia - iż "wybitność", "wielkość" tych utworów urzeczywistnia się w próżni, że należą one do tych księzek, o których wszyscy wiedzą, że są wielkie... które jednakowoż w jakiś sposób są nam odległe, niedostępne i zimne... albowiem zostały napisane na kłęczkach z myślą nie o czytelniku a o Sztuce, lub też o innej abstrakcji. Ta proza zrodziła się z tegoż samego ducha, który przyświeca poetom, to niewątpliwie z istoty swojej "proza poetycka".

Jeżeli, porzucając utwory, zajmiemy się osobami poetów i światkiem, jaki osoby te tworzą wraz ze swymi wyznawcami i akolitami, to jeszcze bardziej stanie się nam i ciasno i duszno. Poeci nie tylko piszą dla poetów, lecz także wychwalają się wzajemnie i wzajemnie oddają sobie cześć. Świat ten, lub raczej światek, nie wiele różni się od innych światków hermetycznych i wyspecjalizowanych: szachiści uważają szachy za szczyt twórczości ludzkiej, mają swoje hierarchie, mówią o Capablance z równym nabożeństwem jak poeci o Mallarmé i jeden drugiego utwierdza w poczuciu własnej doniosłości. Ale szachiści nie mają pretensji do tak uniwersalnej roli i to, co można wybaczyć od biedy szachistom, u poetów staje się nie do wybaczenia. W następstwie takie odosobnienia wszystko tu puchnie i nawet mierni poeci rozdymają się w sposób apokaliptyczny, a błahe problemy nabierają oszałamiającej wagi. Przypomnijmy sobie chociażby straszliwe polemiki na temat asonansów, ton w jakim dyskutowano tę sprawę - zdawało się wówczas, że losy ludzkości zależą od tego, czy można rymować "moga" i "głową". Oto co się dzieje, gdy duch gremialny osiąga przewagę nad duchem uniwersalnym.

Inny niemniej kompromitujący fakt, to ilość poetów. Do wzmiankowanych powyżej nadmiarów dochodzi jeszcze nadmiar wieszczów. Te ultra-demokratyczne cyfry rozsadzają od wewnątrz arystokratyczną i dumną twierdzą poetyczną - i rzeczywiście dość zabawne jest, gdy się ich widzi wszystkich razem na jakimś kongresie: cóż za tłum istot wyjątkowych! Ale czyż sztuka święcąca się w próżni nie jest idealnym terenem dla tych właśnie, którzy są niczym, których pusta osobowość z zachwytem wyżywa się w tych formach uszczuplonych? A już prawdziwe są śmieszne te krytyki, te artykułiki, aforyzmy, eseje, które ukazują się w prasie na temat poezji. Oto przelewanie z pustego w próżne - ale zarazem jest to przelewanie bombastyczne i już tak naiwne, tak dziecinne, że wierzyć się nie chce aby ludzie parający się piórem nie wyczuwali całej śmieszności tej publicystyki. Dotąd nie zrozumieli ci styliści, że o poezji nie wolno pisać w tonie poetycznym i ich gazetki pękają od takich poetyzujących elukubracji. Wielka też jest śmieszność, towarzysząca recitalom, konkursom. Wielka też jest manifestacja, ale chyba nie warto już nad tym się rozwodzić.

Sądzę, że wytłumaczyłem mniej więcej dlaczego poezja wierszowana mnie nie bierze. I dlaczego poeci - którzy oddali się całkowicie Poezji - i podporządkowali tej Instytucji bez reszty własne istoty swoje, zapominając o istnieniu konkretnego człowieka i zamykając oczy na rzeczywistość - znaleźli się (od wieków) w katastrofalnej sytuacji. Wbrew pozorom triumfu. Wbrew całej pompie tego ceremoniału.

Ale muszę jeszcze odeprzeć pewien zarzut.

Tylko dobrowolnym zaślepieniem można wytłumaczyć ten niesłychany symplicyzm z jakim bronią się poeci (ludzie na ogół nie głupi, ani naiwni) gdy się zaczepia ich sztukę. Wielu z nich szuka ratunku w oświadczeniu, że wiersze piszą dla własnej przyjemności - jak gdyby całe ich postępowanie nie zadawało kłamu temu twierdzeniu. Są i tacy, którzy z powagą utrzymują, że piszą dla ludu i że ich wymyślne szarady stanowią pokarm duchowy prostaczków. Wszyscy jednak wierzą niezłomnie w rezonans społeczny poezji i trudno im będzie zrozumieć w jaki sposób można atakować ich od tej strony. Powiedzą: - Jakżeż! Czy może pan wątpić? Czy nie widzi pan tłumów, które biorą udział w naszych recitalach? Ilości wydań, które osiągają nasze tomiki? Studiów, artykułów, rozpraw, o nas pisanych? To pan właśnie nie chce widzieć tego co jest...

Cóż im odpowiem? Ze wszystko to - iluzje. To prawda, że na recitale chodzą tłumy, ale też prawda jest, że nawet słuchacz bardzo wykształcony absolutnie nie jest w stanie zrozumieć wiersza, deklamowanego na recitalu. Ileż razy zdarzyło mi się cytować wierszem - a każdy z nich musiałby być co najmniej trzy razy z najwyższą uwagą przeczytany aby z grubsza dało się odcyfrować jego treść. Co się tyczy wydań, to wiemy że tysiące książek kupuje się aby nie przeczytać ich nigdy. O poezji piszą, jak już powiedzieliśmy, poeci. A podziw? Czy konie na wyścigach nie budzą jeszcze większego zainteresowania - ale cóż ma wspólnego ta żyłka sportowa, z jaką oglądamy wszelką rywalizację, i te wszystkie ambicje - narodowe i inne - które tym wyścigom towarzyszą z istotnym wzruszeniem artystycznym?

Jednakże taka odpowiedź, choć słuszna, nie byłaby wystarczająca. Problem obcowania naszego ze sztuką jest o wiele głębszy i trudniejszy. I jest niewątpliwe - w moim pojęciu przynajmniej - że jeśli w ogóle chcemy coś z tego zrozumieć, musimy całkowicie zerwać z tą zbyt łatwą myślą iż "sztuka zachwyca nas" i że "rozkoszujemy się sztuką". Nie, sztuka tylko do pewnego stopnia nas zachwyca, a rozkosze jakich nam przysparza są wątpliwe... I czyż może być inaczej, jeśli obcowanie z wielką sztuką to męczące, trudne obcowanie z ludźmi dojrzałymi, o szerszym zasięgu i potężniejszym odczuwaniu. Nie rozkoszujemy się - raczej staramy się rozkoszować... i nie rozumiemy... staramy się zrozumieć...

Jakże powierzchowna jest myśl, dla której to skomplikowane zjawisko sprowadza się do prostej formuły: sztuka zachwyca ponieważ jest piękna. - Ach, tak wielu jest snobów... ale ja nie jestem snobem, ja szczerze przyznaję się jeśli coś mi się nie podoba - mówi ta prostoduszność i zdaje się jej, że już wszystko załatwione.

Ale przecież wyraźnie dają się odczuć tutaj czynniki, nie mające żadnego związku z estetyką. Czy myślicie, że gdyby nas w szkole nie zmuszano do zachwywania się sztuką, mieliśmy dla niej, w późniejszym wieku, tyle gotowego już zachwyty? Czy sądzicie, że gdyby cała nasza organizacja kulturalna nie narzucała nam sztuki - my byśmy się nią tak interesowali? Czy to nie nasza potrzeba mitu, uwielbienia wyżywa się w tym podziwieniu naszym - i czy, uwielbiając wyższych, sami się nie wywyższamy? Ale przede wszystkim: czy te uczucia podziwu, zachwyty rodzą się "z nas", czy "między nami"? Jeśli na koncercie rozlega się burza oklasków to wcale nie znaczy, aby każdy z tych oklaskujących był zachwycony. Jeden nieśmiały oklask prowokuje drugi - wzajemnie one się podniecają - i w końcu wytwarza się taka sytuacja, iż każdy musi przystosować się wewnętrznie do tego zbiorowego szału. Wszyscy "zachowują się" jak gdyby byli zachwyceni, choć nikt nie jest "naprawdę", w tym stopniu przynajmniej, zachwycony.

Byłoby więc błędem, godną pożałowania naiwnością, gdybyśmy żądali od wierszy, czy też od jakiegokolwiek innej sztuki, aby ona była ot tak, po prostu, źródłem rozkoszy ludzkiej. I jeśli z tego punktu widzenia rozejrzemy się w świecie poetów i ich wielbicieli, to wszystkie jego absurdy i

śmieszności wydadzą się usprawiedliwione: gdyż widocznie tak ma być i jest zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy aby sztuka, podobnie jak zachwyty, który budzi, były raczej dziełem ducha zbiorowego niż bezpośrednią reakcją jednostki.

A jednak - nie. A jednak i takie ujęcie nie zdoła uratować poetów, ani przysporzyć rumieńców życia i rzeczywistości ich poezji. Jeżeli bowiem taka właśnie jest rzeczywistość, to w każdym razie oni nie zdają sobie z niej sprawy. Dla nich wszystko odbywa się po prostu: śpiewak śpiewa, a słuchacz, zachwycony, słucha. Rzecz pewna, że gdyby byli zdolni uznać te prawdy i wyprowadzić z nich wszystkie konsekwencje, to musiałby się radykalnie zmienić sam ich stosunek do śpiewu. Bądźcie spokojni jednak: nic nigdy nie zmieni się u poetów. I nie oddawajcie się złudzeniom, że w obliczu tych zbiorowych mocy, które fałszują nam nasze indywidualne odczuwanie, okażą oni jakąś wolę oporu - gwoli chociażby temu aby sztuka nie była fikcją i ceremoniałem, a tylko prawdziwym obcowaniem człowieka z człowiekiem. Nie, te mnichy wolą się korzyć?

Mnichy? To nie znaczy abym był przeciwnikiem Pana Boga, lub jego rozlicznych zakonów. Ale nawet religia umiera z chwilą, gdy przeobraża się w obrządek. Zbyt łatwo zaiste poświęcamy na tych ołtarzach autentyczność i wagę naszego istnienia.

Witold Gombrowicz
Kultura Nr 10(48), 1951

Czesław Miłosz - LIST DO GOMBROWICZA

Panie Gombrowicz!

Pan ośmieliłeś się napaść w brutalny sposób na poezję i poetów. Pan obrażasz uczucia tysięcy ludzi, którzy piszą wiersze i z drżeniem serca czekają na odpowiedź z redakcji. Pan podgryzasz fundamenty bytu działaczy na niwie kultury, którzy czerpią dochód z kultu wieszczów. Pan niszczy i mnie, który wypowiadał się niekiedy mową wiązaną. To wszystko można byłoby Panu wybaczyć, gdyby Pan nie miał racji. Ale Pan, mówiąc "iż nikt prawie nie lubi wierszy i że świat poezji wierszowanej jest światem fikcyjnym oraz sfalszowanym" ma całkowitą słuszność. Co więcej, kiedy się czyta Pana, dochodzi się do radosnego wniosku, że człowiek, nawet w nieprzychylnych okolicznościach, zdolny jest zachować zdrowie umysłu i szacunek dla prawdy. Jeżeli to Pana interesuje mogę też powiedzieć, że jest Pan jednym z niesłychanie nielicznych autorów polskich przebywających za granicą, którzy są wciąż czytani i po cichu cenieni w Polsce. Jakże mógłbym z Panem się nie zgodzić, kiedy Pan myśli mądrze i dobrze pisze? Zgadza się więc, ale pod pewnymi warunkami.

Warunek pierwszy. Że to, co jest obroną poezji przed bzdurą i fałszem nie będzie przedstawiane jako atak na nią. Gdyż w istocie ten atak jest protestem Witolda Gombrowicza przeciwko wymokłemu i obłemu światu, w którym żadna myśl, żadne uczucie nie są ostre i śmiałe, gdzie wszystko rozplywa się w nieokreślonych gestach i grach, gdzie n i e m a o c z y m mówić. "Jeden drugiego czule obejmuje... ale pomimo czułości, kordialności owej Rozmowa coraz im przygasa, albo się rozłazi, bo to jednak gada, a drugi w roztargnieniu, w Zapomnieniu jakimś już i Słuchać przestał, już sobie Skarpetkę ogląda. Mówią tedy: - Wyszła ta Rewista? - A mnie 50 Pezów za artykuł zapłacono. - Jak się masz, jak się masz? A co tam nowego? - Ileż tyż ten Plac kosztował? - Ja sobie skarpetki sprawilem. Wtedy wszyscy razem ręce do góry wzniesli i za głowy się łapiąc, na głos zawołali: - O, cóż to Mówiemy? O, daczego tak Płasko, tak Płasko, tak Płasko? Więc do siebie wzajem Przyskakują, jeden drugiemu Honor świadczy, jeden do drugiego "Maestro, maestro", a "Gran Escritor" a "que Obra" a "que Gloria", cóż kiedy zraz im się rozlazło i w roztargnieniu znów Skarpetki sobie oglądają". ("Transatlantyk"). I wiersze pisane przez tych ludzi, zapełniające stronicę rewistas argentyńskich czy francuskich, polskich czy angielskich, na równi są niemożliwe do czytania, nieinteresujące dla nikogo prócz ich autorów.

Warunek drugi. Że będzie przeprowadzone rozróżnienie pomiędzy "poezją czystą" i "poezją wierszowaną". Nie każda "poezja wierszowana" jest "poezją czystą" w tym znaczeniu jakie "czystości" nadał wiek dwudziesty, tj. w znaczeniu potraw przyrządzanych z samego cukru, najwyżej z dodatkiem miodu. "Poezja czysta" jest jedną z aberracji umysłowych. Słusznie woła Witold Gombrowicz w "Transatlantyku": "- Nie lubię ja gdy Masło zbyt Maślane, Kluski zbyt Kluskowe, Jagły zbyt Jaglane, a Krupy zbyt Krupne". Ani "Pan Tadeusz", ani "Faust" ani dramaty Szekspira nie należą do "poezji czystej" choć są wierszowane. Inną zupełnie rzeczą jest czystość tonu, która winduje wypadki zwykle, albo nawet trywialne w wymiar trwałości, co zakłada jednak wspólne zainteresowanie autora i czytelnika tymi wypadkami, a nie tylko samym tonem. Czyli prawdziwa "magia" jest tylko wtedy, kiedy

jest niedostrzegalna, kiedy czytelnik czuje, że autor używa rytmu i obrazów jako środka, żeby coś powiedzieć, a nie jako celu samego w sobie. Chciałbym dać przykład jakiegoś krótkiego utworu wierszem, który lubię i który nie podpadałby pod zarzuty Gombrowicza. Przychodzi mi na myśl ballada ludowa staro-angielska w przekładzie niezapomnianego Edwarda Porębowicza. Oto tekst tej ballady - "The bonny hind":

PIĘKNA ŁANI

Chodziła panna, chodziła panna
Przez cieniste ogrody,
A tam młodego naszła rycerza
Przecudnej urody.

Chodziła panna, zrywała panna
To ogrodowe kwiecie,
Tam napotkała młodego chłopca
Najpiękniejszego w świecie.

- Oddaj mi wianek, piękna panienko,
Oddaj wianek dziewczęcy,
Oddaj mi wianek, piękna panienko
Moje ty sto tysięcy. -

Wziął ją za rękę, wiódł na murawę,
Na maleńkie pieszczoty,
A kiedy wstali z darni zielonej
Dał grzebień szczerzłoty.

- Może mieć będę córeczkę małą,
Może mieć będę syna:
Niechaj-że wiedzą zacny dworaku
Jaka jest ich rodzina.-

- Nie jestem dworak, luba dziewczyno,
Przybyłem dziś zza morza,
Anim był dworny, chyba dla ciebie,
Moja panienko boża.

Zowią mię Jackiem tam na pokładzie,
Albo mię zowią Janem,
Lecz kiedy jestem w rodzica domu,
Jack Randal zwę się mianem.-

- Kłamiesz, o kłamiesz mój piękny panie!
Lord Randal nie ma syna:
Lorda Randala ja jestem córką
I w domu jam jedyna.-

- Kłamiesz, o kłamiesz, piękna dziewczyno
I nie znasz w kłamstwie sromu:
Ja jestem lorda Randala synem,
Powracam dziś do domu.-

Sięgnęła ręką za pas złocisty
Po sztylet obosieczny,
I otworzyła nim w piersiach ranę
Dla swojej krwi serdecznej.

Podniósł rękoma swą piękną siostrę
Po licach lzy mu płyną:

I pogrzebał ją i pochował ją
Pod zieloną olszyną.

I jechał dalej do ojca dworu
I ozwał się śpiewem:
- O moja łani, o moja piękna
Pod tym zielonym drzewem.-

- Czemu to płaczesz nad piękną łanią,
Czemu to myślisz o niej?
Jest w mym zwierzyńcu jeleni stado
I nikt ci ich nie broni.

Jest osiemdziesiąt srebrzysto-siwych,
Ile chcesz, wybierz ino.-
- O moja łani, o piękna łani
Pod zieloną olszyną.-

- Dlaczego szlochać nad piękną łanią
I żalić się jej straty?
Zabierz ty lepsze, ja gorsze wezmę,
Zwierzyniec mój bogaty.-

- Nie dbam o twoje, ojcze, jelenie,
I gardzę twą zwierzyną:
O moja łani, o piękna łani
Pod zieloną olszyną!

Mam nadzieję, iż Witold Gombrowicz zgodzi się ze mną, że jest to piękny utwór. Cóż z niego zostałyby, gdyby usunąć rytm, powtarzalność pewnych słów na końcu linijek wiersza i symetryczność dialogów? Nie więcej niż zdarzenie ze średniowiecznej kroniki kryminalnej. I tylko pewien rodzaj inkantacji nadaje temu zdarzeniu siłę zdolną nas wzruszyć. Słuchacze, przekazujący tę pieśń z ust do ust, zanim nie została wreszcie zapisana, nie troszczyli się o "magię", nie oddzielali jej od zdarzenia, które działało na nich tak, jak na warszawskiego słuchacza działały wypadki w balladzie o pani Wiśniewskiej.

Warunek trzeci. Że Witold Gombrowicz weźmie pod uwagę zmiany, jakie zaszły w ciągu ostatnich lat w poezji kilku narodów, w tej liczbie i polskiego. Atak na "poezję czystą" był prowadzony w pewnych kołach literackich w Warszawie czasu wojny, był też prowadzony z powodzeniem po wojnie. Był to atak słuszny i potrzebny. Jednakże rządzący, popierając tę tendencję, mieli na widoku "etap następny", tj. zaprzęgnięcie poezji w służbę państwa. Atak Witolda Gombrowicza różni się odrobinę od podobnych ataków w kraju, a jak wiadomo w tych sprawach "odrobina" decyduje o wszystkim.

Malarstwo, poezja czy muzyka mogą służyć państwu i nieraz służyły w przeszłości, jednak były to państwa oparte na podstawach religijnych. Dawne religie nie stały w sprzeczności z trudną do określenia zasadą sztuki, zapewniały poecie, malarzowi czy muzykowi wylot w przestrzeń, w obrazy i pojęcia zawarte w samej religii. Co innego religia świecka diamentu czyli materializmu dialektycznego z odpowiednimi poprawkami i surami. Oczywiście zachodzi sprzeczność nie do usunięcia pomiędzy diamentem i prawdziwą twórczością artystyczną i tej sprzeczności są doskonale świadomi filozofowie partyjni, nie mając zamiaru, to jasne, poświęcać diamentu. Gdyby jednak poezja była mało ważną rozrywką, czymś w rodzaju szachów czy filatelistyki, nie robiliby tylu wysiłków, aby ją mieć i popierać. Przeciwnie, uważają ją za jedno z najpotężniejszych narzędzi do władania umysłami, bo przy pomocy fałszywej poezji ubierają to co konieczne w sentymentalną sukienkę ("Deszczyk majowy spadł/ Słychać słowicze trele/ O, jakże piękny jest świat/ Ze Związkiem Radzieckim na czele").

Sytuacja w Polsce w niczym więc nie przypomina rozmów jegomościów oglądających swoje skarpetki. Publiczność na wieczorach autorskich zaczyna klaskać nie wtedy, kiedy na twarzy siedzącego obok snoba ukaże się wyraz rozmodlenia i kiedy jego ręce złożą się do oklasku. Oklaski rozlegają się wtedy, kiedy każdy mówi sobie: "aha, już", tj. kiedy pada oczekiwana z góry aluzja polityczna albo słowo, które wywołuje oklaski mocą odruchu warunkowego (np. nazwiska wodzów, hasła aktualne w danej chwili itp.) Jest to permanentny jubileusz.

Z tym wszystkim w ciągu lat powojennych dokonano w Polsce ogromnej pracy nad stylem poetyckim, przywracając nadwątloną konstrukcję zdania, tępiąc przerost metafor i "poetyczność" nie z nadmiaru, a z niedomiaru treści. Można mówić o powstaniu nowego języka, który różni się od języka sprzed roku 1939 jakby upłynęło 30 lat. Ten nowy język, dzięki temu, że ożyło zainteresowanie dla różnych odmian metrum, jest zwłaszcza podatnym instrumentem przekładu poetyckiego. Warto o tym wspomnieć, bo Gombrowicz, przebywając w Argentynie, dokonał w "Transatlantyku" prawdziwego *tour de force* w języku polskiej prozy, odnawiając z powodzeniem styl diariuszy i pamiętników tak dobrze wpadający w ucho nawykłe do polszczyzny.

Niestety, w Polsce dziecko zostało wylane razem z kąpielą, czyli ten nowy język poezji został użyty nie do "porozumienia człowieka z człowiekiem", a do porozumienia państwa z człowiekiem - dość jednostronnego porozumienia. Gombrowicz powiada: "W miarę jak Zwężenie stawało się coraz Węższe, nieokiełznane niczym Piękno stawało się coraz Piękniejsze, Głębia coraz Głębsza, Szlachetność coraz Szlachetniejsza, Czystość coraz Czystsza". Coś podobnego - choć na odwrót - zachodzi i w Polsce, gdzie zwężenie jest politycznej natury. Prawdopodobnie pociągu do piękna i szlachetności nie da się wypłenić w poetach, łączy się to jakoś z artystycznym przekształceniem, "idealizowaniem" świata, możliwe jednak jest uniknięcie zwężenia, które doprowadza do duszności, do tej choroby, którą nazwano *peau de réalité*. Dlatego wystąpienie Witolda Gombrowicza przeciwko poetom powinno prowadzić do pytania: w jaki sposób można uniknąć obrzydliwych cech "poezji czystej" i uzyskać wielkie Rozszerzenie, nie wpadając w ten nowy gatunek "alienacji", który jest narzucony poetom na Wschodzie. O nich też należy pamiętać.

Pod tymi warunkami zgadzam się z Panem i nie tylko zgadzam się, jestem zachwycony. Możliwe że moja skwapliwość pozostaje w niejakiej sprzeczności z moją praktyką. Wynika to albo z zasadniczej niemożności "epoki" (a nie z niemożności poetów zawsze i wszędzie), albo z osobistych niedostatków. W każdym razie odstępstwa nie umniejszają poprawności rozumowania.

Czesław Miłosz
Kultura nr11 (49), 1951

Witold Gombrowicz - "PRZEKŁĘTE ZDROBNIENIE ZNOWU DAŁO MI SIĘ WE ZNAKI"

(OBROŃCOM POETÓW W ODPOWIEDZI)

Mój zuchwały wybryk poetoburezy dostarczył mi nieznanych, jakże słodkich, wrażeń! Rozmaite osoby, które jak dotąd bez większego entuzjazmu odnosiły się do mej twórczości, ze wzruszeniem ścisnęły mi dłoń. Po raz pierwszy w życiu odkryły mi się rozkosze pisarza, który, powstając przeciw tyranii, staje się rzecznikiem ludu. I drżycie, poeci! Albowiem nie czego innego dowodzi ten dreszcz szczęścia i rozkoszy, jaki wstrząsnął tysiącami istot, jak tylko że zbliża się kres waszej przemocy, że tajemniczy palec nowoczesności kreśli MANE TEKEL FARES na nudnej świątyni waszej! Niccość otwiera wam zimne swoje ramiona, Nic, puste, najzupełniej próżne. Nic skrada się jak kot ku fabryce metafor, aby ją pożreć wraz z dylizansem waszego myślenia. I bladuróżowa róża rozplynie się w śmiercią zaprawionym zmierzchu! Nie, nie będę twierdził, że wszyscy bez wyjątku opowiedzieli się po mojej stronie. Powiem jednak, że te liczne rzesze inteligentnych ludzi, które mnie popierają, znalazły się poza dyskusją zapewne skazane na wieczne milczenie. Dlaczego? Gdyż ci co piszą w prasie są literatami. A na ławie oskarżonych zasiadła poezja wierszowana, ich kuzynka, pokrewna im muza. Jakże chcecie, aby literaci sprzymierzyli się z atakiem na literaturę? I, jeśli idzie o poezję wierszowaną, prasa (oświadczam) nie jest organem opinii publicznej, tylko narzędziem terroru, jest to instrument za pomocą którego dawno umarły bakałarz wbija w spragnione życie głowy trupa pogrzebanych na zawsze uniesień.

Któż odpowiada na mój artykuł? Azali usłyszano głos inżynierów, lekarzy albo adwokatów? Nie. Odpowiadają poeci: Miłosz, Łobodowski, Literatka Zarembina. Krytyk Wit Tarnawski. Z góry można było przewidzieć jak wypadnie ryk lwów, którym napadnięto na ogon. I jedynie odpowiedź Miłosza była dla mnie - w zasadniczej treści swojej - niespodzianką. W osłupieniu przyznaję, czytałem wyznanie poety, który z najzimniejszą krwią i z dziwną swobodą ducha pochwalił nóż we własną pierś wymierzony, poparł to co go zabija. Przypominam końcowe zdania miłoszowego oświadczenia, w których przyznaję Miłosz, że istnieje pewna sprzeczność pomiędzy jego teorią a jego praktyką. Jeżeli ta bezwstydną niekonsekwencją nie wstrząsnęła wami należycie, to jedynie dlatego, że Miłosz opatrzył ją

dla przyzwoitości rozmaitymi warunkami i zastrzeżeniami - ale niekonsekwencja pomimo to istnieje, wielka jak dom, nieprzyzwoita, jak dom publiczny! I dzięki niej właśnie odpowiedź Miłosza staje się niezmiernie cenna i wysoce charakterystyczna...

Coś bowiem mówi ten poeta, który - w imię Poezji - łączy się z taranem druzgocącym klatki piersiowe poetów? Czyż, gdyby Szekspir miał ująć istotę tej zdrady, nie zawarłby jej w następującym wierszu:

Jestem Miłoszem, Miłoszem być muszę
Będąc Miłoszem, Miłoszem być nie chcę
Miłosza w sobie zabijam ażeby
Bardziej Miłoszem być...

Co się wyklada: że istotą człowieka jest rozwój, a rozwój dokonywuje się na drodze nieustannego samobójstwa. Musimy uśmiercić w sobie to, co jest, ażeby dojść do tego, co będzie. I ta swoboda z jaką Miłosz, bez chwili wahania, odrywa się od swojego świata, to właśnie gorzka dojrzałość naszego czasu - dojrzałość zdobyta pod potężnym, głęboko przez niego przeżyтым, ciśnieniem historii. Ten poeta usiłuje wydobyć się z poety po to, aby ruszyć z miejsca poezję - podobnie jak niżej podpisany usiłował w "Trans-Atlantyku" wydobyć was i siebie z Narodu, abyśmy mogli ruszyć z miejsca Naród. A druga cecha, którą (jeżeli dobrze interpretuję Miłosza) chciałbym podkreślić, to jego bezpośredniość - gdyż on, nie lękając się niekonsekwencji, nie broniąc się przed nią, przyjmując ją jako konieczność życia i rozwoju, może sobie pozwolić na szczerość uczucia - może reagować na rzeczywistość nie wedle zasad, przemyśleń, doktryn, filozofii i tym podobnych schematów, ale wedle swojej najbardziej zwyczajnej ludzkości, która głupstwo nazywa głupstwem, nudę - nudą. Nie, nie jest dla mnie niespodzianką, że człowiek, który na własnej skórze doświadczył rozmaitych ketmanów z taką bezwzględnością, dąży dzisiaj do swobody.

Czyż tam, za kurtyną, nie istnieje ten sam hermetyzm ducha co pośród poetów? Jeżeli poeci wierzą w Poezję, to tam wierzy się w Państwo. Jeżeli poeci piszą dla Poezji wiersze niezdolne wzbudzić zainteresowania w ludziach po to, aby cały mechanizm kultury narzucił je siłą nieszczęsnemu czytelnikowi, to tam praktykuje się z powodzeniem ten sam typ literatury: gdyż jeśli, z jednej strony, zmusza się człowieka, ażeby to czytał. Wobec czego pisarze ci chodzą w sławie, jak w słońcu, szczyjąc się tysiącami swych nakładów, podobnie jak - wśród nas - poeci. I jedyna różnica polega na tym, że gdy tam przymus ma charakter zewnętrzny, brutalny, tutaj mamy do czynienia z nieskończone subtelną presją - z presją, która dla samych ofiar jest niedostrzegalna. (Nie łudźcie się więc, że poecie są obrońcami Ludzkości i Człowieka - kapłan nie troszczy się o nic poza Bogiem).

Ale dość już o niekonsekwencjach Miłosza. Przejdźmy teraz do sądów mniej bezpośrednich, bardziej... konsekwentnych.

Nic bardziej konsekwentnego, że Łobodowski-poeta się broni. To samo przecież czyni lew osaczony i bawół przyparty do muru. Odpowiedź Łobodowskiego to prawdziwy róg obfitości. I czegoż tam nie ma? Ze ja zwykłem śledzia malować na zielono, że nie znam Szekspira, że sąd o poezji wierszowanej wyrobiłem sobie w warszawskich kawiarniach, że on, Łobodowski, boksował się, a jednak korona mu z głowy nie spadła i że obok złych poetów istnieją i dobrzy, a wielu z nich wywarło spory wpływ na kształtowanie się rzeczywistości... Wszystko tu znajdziecie oprócz tego, czego miałbym prawo oczekiwać od wybitnego poety, to jest oprócz jakiegoś takiego formatu, jakiejś takiej wagi i powagi. Jeżeli spalił was rumieniec wstydu na widok wybitnego, powtarzam, poety, który odpowiada jak sportowiec, jak bokser, plotkarz i tatarnik, jak molojce i czytelnik pisujący listy do redakcji, to tylko dowodzi, że nazbyt skorumpowały was gazетки literackie z ich beztroskim gaworzeniem o literaturze. I trudno o lepszą ilustrację mojego twierdzenia o "niepełności" stylu poetów, o ich nieumiejętności, gdy muszą mówić o poezji, a zwłaszcza bronić jej przed wrogiem. Łobodowski nie znalazł właściwego tonu. Zaskoczony moim brakiem szacunku, usiłował odpowiedzieć mi w sposób ot, "trzeźwy", "życiowy", ale przesolił. Głos mu się załamał, stał się zanadto figlarny - i ksiądz nasz, przetworzywszy się w zawiadackiego boksera, rozłożył siebie samego na obie łopatki.

W następnym numerze *Kultury* ozwały się głosy Natalii Zarembiny i Wita Tarnawskiego. Jeżeli osłupiałem, czytając Miłosza, jeśli potem beztroski boks Łobodowskiego pogrążył mnie w drugie z kolei osłupienie, to za sprawą tych nowych obrońców poezji wierszowanej popadłem w osłupienie trzecie i czwarte - które, z nadchodzącą nocą, do tego stopnia się wzmogły, iż dzień wstający przez długi czas nie mógł pobudzić mnie do ruchu.

Tu już nie idzie o ton. Odpowiedź Tarnawskiego ma wszelkie cechy powagi, a właściwa temu krytykowi rzetelność oraz przejrzystość sformułowań nadały jego słowom pozory słuszności. A jednak zdawałoby się, że oni oboje - pani Zarembina i pan Tarnawski - nie przeczytali mego artykułu, że ani jedno moje zdanie nie przeniknęło do ich świadomości. Podczas gdy Tarnawski (za przykładem, zresztą, Łobodowskiego), twierdzi, że mój artykuł byłby, owszem, wcale niczego, gdyby był

zatytułowany "przeciw lichym poetom", pani Zarembina pisze, że ja... atakuję snobizm, acz w jakiś dziwny i niezbyt dla niej zrozumiały sposób. Na Boga żywego! Przecież, panie Tarnawski, gdyby mnie szło jedynie o wykazanie, że wiersze złych poetów są złe, a dobrych - dobre, to bym w ogóle nie pisał artykułu - i nigdy nie poważylbym się zabierać prasie polskiej miejsca na odkrywanie takich prawd w dobie, jak dzisiejsza, kiedy mamy nieco poważniejsze kłopoty. I, na Boga żywego, pani Zarembino! Niechże pani zastanowi się przez jedną chwilę, że gdyby poruszone przeze mnie sprawy sprowadzały się do oklepanego zagadnienia "snobizmu", gdyby tu chodziło o podobnie naiwne i symplicystyczne "problemy", to - zważywszy, że Kultura nie jest pisemkiem dla młodzieży w wieku szkolnym - artykuł zawierający takie komunały, nie miałby żadnych szans na pojawienie się w druku.

Jak fatalna w skutkach, jak uwłaczająca naszej godności intelektualnej jest ta skłonność do pomniejszenia, zdrabniania każdej myśli, która nieco się wyodrębniła! I jak łatwo odpowiadać na coś, czego się nie przemyślało! Gdy ja mówię, w sposób ogólny, o kształtowaniu się wśród ludzi pewnej formy (wierszowanej), która określa pewną postawę (religijną), gdy wywodzę jak ta religijna postawa poety, nieskompensowana należycie, doprowadziła do przerostu i skostnienia formy, odpowiada mi się... że wielcy poeci (jak z samej nazwy wynika), byli wielkimi poetami, a, będąc wielkimi poetami, nie mogli pisać złych wierszy. Ależ ja nie twierdząc, aby wiersze wielkich poetów nie były znakomite jako wiersze, nawet jako sztuka - lecz idzie mi o same podstawy sztuki, o stwierdzenie, że najdoskonalsza sztuka może oderwać się od człowieka, stać się "sztuką samą w sobie". Mój wywód ma przede wszystkim na oku wielką sztukę poetycką, gdyż w niej właśnie dochodzi do swego najpełniejszego urzeczywistnienia ten styl, oczyszczony, hermetyczny, jednostronny i ta specyficzna postawa duchowa, które możemy określić jako "poetyckie". Gdy ja staram się wykazać, jak dalece obcowanie nasze ze sztuką jest skomplikowane z natury swojej, jaką naiwnością jest sądzić że możemy ot tak, po prostu, "zachwycać się" nią i ją "rozumieć", ile rozmaitych czynników z dziedziny psychologii zbiorowej i innej wpływa na nasze reakcje, przypisuje mi się chęć... zwalczania snobizmu i pani Zarembina pisze, że dążę do tego, aby "drogę prowadzącą od artysty do odbiorców sztuki cechowała prostota i rzetelność".

Dlaczego osoby inteligentne, światłe i szanowane, jak Zarembina, Łobodowski, Tarnawski, oraz wielu innych zwolenników poezji wierszowanej, nie były w stanie zrozumieć tych aspektów zasadniczych mego artykułu? Zawiniła tutaj chyba pewna nieśmiałość, pewna "pośredniość", tak charakterystyczne dla wszystkich tych kultur, które nie wyrobiły się w bezpośrednim starciu z rzeczywistością i życiem, które świat odczuwają poprzez inne, dojrzałe, kultury. Nam, Polakom, nie na tym zależy, aby mieć poezję (w sensie ogólnym, zasadniczym, w sensie poetycznego stosunku do świata), a tylko na tym, aby mieć "poezję niegorszą od francuskiej"... lub na tym, abyśmy byli "równie kulturalni co Anglicy". Rozgrywka nasza z naturą nie dokonywuje się wprost - nam zawsze idzie o to, by dorównać komuś, kto nas wyprzedził i myśl nasza unika spraw podstawowych, natomiast doskonalili się w szczegółach, w detalach, we wszystkim, co jest rozbudową gmachu, przez innych zapoczątkowanego. Narody takie posiadają na ogół doskonalszych aktorów, śpiewaków i balet, oraz godnych uznania wirtuozów, natomiast gorzej jest z filozofami, myślicielami, kompozytorami. Na skutek tej właśnie "pośredniości" wyrobiliśmy sobie wielce dystyngowany język, by rozprawiać z należyłą głębią na tematy takiej, jak "Norwid a Claudel" lub "Ewolucja trzynastozgłoskowca", natomiast myśl nasza zamiera, błada z przerażenia, gdy przychodzi do pytania: o ile sama poezja, lub sama muzyka, są ważne? Żyjemy w świecie, który nam zbudowali inni, i do głowy nam nie przyjdzie iż moglibyśmy także przystąpić do budowy świata. Bardzo charakterystyczną dla tej naszej ostrożności, tego naszego umiaru, jest rozsądną uwagę Tarnawskiego: "Trudno naprawdę przypuścić, aby wielcy poeci wszystkich narodów i wieków - byli snobami oraz ignorantami w swym rzemiośle - i że dopiero Gombrowicz przejrzał".

Ale, jeśli wyzwolicie się na moment z tej, jakże rozsądnej skromności i jeśli ujmiecie moją walkę z poetami w szerszej nieco skali, rzecz w innym przedstawi się wam światło. Przede wszystkim zwrócę waszą uwagę na fakt, że ten typ krytyki, symplicyzującej i brutalizującej, jaki daje mój artykuł, o wiele bardziej przystoi nam, Polakom, bardziej zgodny jest z naszą rzeczywistością i naszą rolą w kulturze, niż wszelki górne i subtelne rozważania o poezji, jakie praktykuje się u nas a la Paul Eluard. Albowiem, choć jako jednostki możemy być najmniej dojrzałi od tych panów, jako naród jesteśmy zjawiskiem kulturalnie młodszym. Dlatego jesteśmy bardziej Polakami gdy "z dołu" uderzamy w wyższość tamtej dojrzałości, domagając się, aby te dumne katedry zstąpiły z nieba na ziemię. Zaiste, rola nasza nie polega na recytowaniu i naśladowaniu cudzych osiągnięć, na biernym uczęszczaniu do kulturalnej szkółki - musimy bronić własnej racji, która jest racją niższości i młodości, musimy być hamulcem, który nie pozwala rozpędzonej maszynie kultury fabrykować przedmiotów nazbyt do człowieka podobnych. Pytanie, jakie winniśmy postawić nie brzmi: czy dany wiersz jest piękny, ale czy jest piękny dla człowieka, dla człowieka jak my niedoskonałego, człowieka z krwi i kości. I cóż nam przyjdzie z sześćdziesięciu tysięcy metafor Milтона, jeśli wymagają one takiego potencjału uwagi, iż to przekracza możliwości ludzkie. I dlatego, uderzając destrukcyjnie z dołu, językiem świeżym, bezpośrednim, we

wszelką sklerozę, w tępy mechanizm wyższości, jesteśmy najbardziej sobą - w tym możemy być autentyczni, pierwszorzędni.

A teraz: jeśli wystąpienie moje jest zgodnie z naszym polskim odczuciem kultury, to z drugiej strony jest ono po prostu następstwem mojego dotychczasowego literackiego rozwoju - i jest dla mnie zagadką w jaki sposób krytyk, p. Tarnawski, zdołał tak znakomicie wyodrębnić ten tekst ze wszystkich jego kontekstów. Alboż nie wiecie, że jestem tym, który usiłuje przywrócić człowiekowi suwerenność w stosunku do własnych jego wytworów? Atakuję wiersze, jak atakuję Naród, jak w "Ferdydurke" zaatakowałem fikcję Dojrzałości - zawsze w imię bezpośredniego odczuwania ludzkiego, w imię nagiej ludzkości. Atakuję wszelką Formę, która przestaje być wygodnym strojem. Atakuję wszystko co nam rośnie samo przez się, aby na przerosnąć. Jakżeż tedy wypowiedź tak zgodna ze mną, tak wynikająca ze mnie, może wydawać się wam do tego stopnia nieoczekiwana, iż łapiecie się za głowy z okrzykiem: oszalał! Jeżeli byście chcieli poważnie zabrać się do mego artykułu, to przede wszystkim należałoby ustalić, w sposób obiektywny i rzeczowy, jak dalece twierdzenie moje jakoby "nikt prawie nie lubił wierszy" jest prawdziwe. I doradzałbym wam abyście, w tym celu, zwrócili się do wydziałów filologiczno-estetycznych uniwersytetów z wezwaniem iżby zamiast oddawać się płodzeniu nudnych monografii i innemu, równie beznadziejnemu gładzeniu, wyłoniły komisje, która by przeprowadziła z ludźmi doświadczenia, mające ustalić jakie są ich istotne, w sensie psychologicznym, reakcje na wiersze i jak dalece oni je asymilują. Potem zaś należałoby sprawdzić czy jest prawdą, co mówię, że jeśli ludzie zachowują się tak "jak gdyby ich zachwycały wiersze" podczas, gdy w rzeczywistości nie odczuwają tego zachwyty, to dlatego, że wytwarza się między ludźmi zbiorowe ciśnienie, które człowieka zmusza do zachwyty - i w jakiej mierze ten przymus, ten gwałt, którego dopuszcza się zbiorowość na jednostce, Międzyludzkość na Ludzkim, jest uzasadniony, jak dalece może być przez nas, ludzi, zaakceptowany.

Ale nawet i bez tych badań i doświadczeń zgodziłbym się na najostrzejszą nawet krytykę, gdyby nie ułatwiano sobie dyskusji ze mną, spływając mnie i banalizując, sprowadzając tę problematykę na poziom nieomal szkolny. O, wstyd, przyjaciele... i w ślad za bohaterem Ferdydurke zmuszony jestem zawołać: "Przekłete zdrobnienie znowu dało mi się we znaki!". Ale rozumiem: ten świat obecny, w którym funkcjonujecie, choć może daleki od ideału, przecież w pewnej mierze jest zadawalający. W tym świecie Łobodowski pisze swoje wiersze, Tarnawski swoje recenzje, pani Zarembina słucha swego Bacha i tysiące innych ludzi uczęszcza na koncerty, recitale, korzy się przed "wielkimi geniuszami", oddaje się mniej lub więcej inteligentnym dywagacjom na tematy sztuki i delectuje się własną kulturą. Wszyscy, zresztą niezmiernie prości, szczerzy, naturalni - nieprawdaż? Tak, ja to rozumiem. Świat ten ma przynajmniej jedną zaletę: stałość i niezmienność. Wszelako... cóż zrobicie z Galileuszem? A Galileusz? Czy naprawdę sądzicie, że zdołacie zabezpieczyć się przed Galileuszem? Uniknąć Galileusza? Cóż będzie, gdy Galileusz krzyknie wam nad uchem:

- A jednak się rusza!

Witold Gombrowicz
Kultura 7/57-8/58, 1952